

Brygida Helbig (Brigitta Helbig-Mischewski)

Ośle czy pomarańcze?

Dziewczyna z Buenos – debiut Anny Kamienieckiej

krytyka
kultury
w dialogu

O osłach nie będzie od razu. Najpierw o sprawach podstawowych. Anna Kamieniecka napisała dobrze przyjętą przez krytykę książkę o współczesnym zagubieniu, osamotnieniu, wyobcowaniu, utracie tożsamości zbiorowej i indywidualnej, wszelkich punktów oparcia, na których można by zbudować spełnione i godziwe życie. Akcja toczy się w legendarnym Amsterdamie nazywanym przez krytykę „współczesnym postmodernistycznym Babilonem”, w Amsterdamie kojarzącym się większości z nas, co jest rzecz jasna oglądem uproszczonym, z narkotykami i rozpustą, w którym „w piramidzie codziennych interesów [...] z rąk do rąk przechodziły rowery, prochy i telefony komórkowe” (s. 141). Anna Kamieniecka zamierzała być może również napisać powieść psychologiczną, powieść o przerażających skutkach traumy o charakterze seksualnym zaznanej w dzieciństwie, lecz – tutaj zgadzam się z opinią Ani Dziewit wyrażoną w „Lampie” – nie podołała zadaniu. Mam wrażenie, że to dość schematyczna i raczej banalna próba ilustracji definicji syndromu borderline, charakteryzującego się, jak podają źródła fachowe: „daleko idącą niestabilnością w relacjach socjalnych, w wizerunku samego siebie i w nastrojach. Objawia się to np. w dużej ilości intensywnych, często zmieniających się związków, skłonności do zachowań autodestrukcyjnych i silnych wybuchów uczuciowych”. Analiza syndromu i jego skutków pozostaje w debiucie Kamienieckiej powierzchowna, podobnie jak powierzchowny jest obraz Amsterdamu-labiryntu, zaśmieconego, poprzecinanego kanałami, w których śmierdząca woda, unosząca „resztki jedzenia i pety” wygląda jak krew. Amsterdamu cuchnącego zgnilizną, przepełnionego kloszardami, narkomanami, Azjatami, bułkami typu kebab, a przede wszystkim Murzynami i Mulatami płci obojga, którzy i narratorkę, i bohaterów nie wiadomo dlaczego szczególnie fascynują, jakby ich nigdy wcześniej w życiu nie widzieli. Biegają po Amsterdamzie jak po *Wiośnie* Schulza: „Murzyni, Murzyni, tłumy Murzynów w mieście!”. Czyżby pojawiali się u Kamienieckiej jako antidotum na problemy chylącej się ku schyłkowi zachodniej cywilizacji? Nie mam zielonego pojęcia.

O narratorkę, czy podmiocie narracji, powiedzieć trzeba, że najczęściej zręcznie ukrywa się pod płaszczykiem mowy pozorniej zależnej, mówi prawie wyłącznie głosami i żargonem swych postaci, np. „podrapał się po kudłatych jajach”. Może jest to rodzaj jakiejś solidarności z bohaterami, narratorka chce należeć do nich, staje po ich stronie, mówi: „Niech nas usłyszają”. Jednak bez specjalnych starań, by trafić do czytelnicznych serc.

O Glorii, głównej bohaterce powieści, dowiadujemy się z kilku rozsianych po tekście aluzji, że spędziła dzieciństwo w polskiej pijackiej dzielnicy, gdzie dziewczyny oddawały się za piwo, a jedyną ucieczką przed takim losem wydawał się być albo stryzyk, albo narkotyki. W wieku czterech lat Gloria prawdopodobnie została zgwałcona przez

sąsiada, któremu sama otworzyła drzwi, stało się to w pokoju pachnącym proszkiem do prania. Potem dziewczynka znalazła się w szpitalu, gdzie z kolei znalazła jej za skórę pielęgniarka. Jakies bliżej niesprecyzowane traumatyczne wydarzenie miało miejsce również w wieku 13 lat, śladem po nim jest wielka szrama „ciągnąca się przez brzuch jak łodyga z odgałęzzeniami” (s. 35), jakaś taka linia jakby narysowana „owłosioną ręką”. Nie wiemy jednak, na ile ta informacja jest wiarygodna, znamy ją bowiem jedynie z ust samej Glorii, a skądinąd wiemy, że Gloria ciągle kłamie. Więc może trauma była „tylko” jedna. Tak czy inaczej ciało Glorii zapisane jest zawłaszczającą ręką mężczyzny (powieść nie ma jednak ambicji feministycznych). Zresztą motyw pisania na ciele, pieczętowania ciała jak bydła pojawia się także w innym miejscu tekstu.

Dwudziestolletnią Glorię poznajemy w szpitalu psychiatrycznym, w którym znalazła się po nieudanej próbie samobójczej, prawdopodobnie już nie pierwszej. Są bowiem w tekście sygnały, że próbowała już się powiesić, dowiadujemy się również, że ma ochotę na ponowną próbę samobójczą, na przykład na rzucenie się z okna czyściutkiego mieszkania młodego Holendra, które wydaje jej się idealnym miejscem na tego typu akcję. Może dlatego, że dzieje się tam coś podobnego, co kiedyś zdarzyło się w pokoju pachnącym proszkiem do prania – jakby sterylność obojętnego albo upokarzającego ją świata domagała się kompromitacji przez kupę mięsa i krwi na chodniku. Gloria trochę się wstydzi swego nieudanego samobójstwa, nie radzi sobie z techniką, z pilotami, telewizorami, nie poradziła sobie z holenderskim piekarnikiem, do którego wsadziła głowę. Przyjechała do Amsterdamu z chłopakiem Marcinem, dwudziestoosmioletnim fotoreporterem, i za żadne skarby świata nie chce wrócić do Polski, gdzie „matka chciałaby ją uwięzić”, chociaż i w Amsterdamie miejsca dla niej nie ma. Kręci się więc po nim jak kot z pęcherzem, co i rusz rzygając, gdzie popadnie, albo lądując w łóżku jakiegoś potencjalnego księcia z bajki, który jak się zwykle okazuje, ma bardzo duże kły.

W szpitalu poznajemy również Ryszarda, który wbrew marzeniom mamy nie został prawnikiem ani prezydentem. Jest również po próbie samobójczej – nie udało mu się ani umknąć presji społecznej, wszechobecnym maskom (konieczności bycia kimś, bycia w temacie, bycia mężczyzną), ani zostać niewidocznym, nikim, ani nawet się powiesić. Pieniądze rozpadają mu się rękach „jak kupa gówna”. Jednym z jego zajęć jest łakome wypatrywanie pociągu, pod który można by się podłożyć, innym wdeptywanie świeżo kupionego jogurtu w wykładzinę. W jego mieszkaniu śmierdzi więc jak w „koziej dupie”. Mógłby założyć z Glorią „Klub Nieudaczników Polskich”, jaki mamy w Berlinie i w ten sposób wybrnąć z impasu. Ale narratorka nie podsuwa mu takiej recepty. Ani narratorka, ani jej postaci nie specjalnie zresztą mają ochotę ratować lub zasłaniać się humorem.

Rodzice Ryszarda pochodzą z Polski, on sam jest, jak mówi, „z Amsterdamu” – to syn emigrantów, więc ni pies ni wydra. To mogłoby być szerokie pole dla pisarskiego popisu, bo to jeszcze gorsze zagubienie niż Polak czy Polka za granicą, to najczęściej brak jakiegokolwiek narodowej tożsamości, jakiegokolwiek zakorzenienia i poczucia przynależności. Tacy ludzie chodzą po świecie, unosząc się kilka centymetrów nad ziemią,

tacy ludzie, którym ciągle daje się do zrozumienia, że nie są ani jednym, ani drugim, często wybierają sobie trzecie miejsce, jakiś jeszcze inny kraj.

I Gloria, i Ryszard szlają się, podobnie jak inni, nie tylko polscy, bohaterowie powieści, bezsensownie po Amsterdamie i nie zdobywają sobie, zwłaszcza chyba Gloria, zbyt-niej sympatii czytelnika. (Pacjenci borderline zresztą, jak się dowiadujemy, nie cieszą się nawet sympatią lekarzy). Tak jakby nawet narratorka specjalnie Glorii nie lubiła, jakby nie chciała, żeby czytelnik przejął się jej losem, jeśli próbuje, to robi to nieskutecznie. Ryszard jednak, jest, zdaje się, na dobrej drodze, pragnie zacząć nowe życie, z heroiną skończył już przed kilku laty, a w czasie przedstawionym przez powieść (jeden dzień) decyduje się na zerwanie z Fredem, z którym prowadził do tej pory nieczyste interesy. Ma więc jak gdyby jakąś perspektywę, jakby się w trakcie akcji rozwija. I w rezultacie to, wbrew licznym, mylącym sygnałom tekstu, ani on się nie wieś, ani Gloria się nie zabija – robi to w przedostatnim rozdziale powieści nagle i niespodziewanie najnormalniejszy w całym towarzystwie, jak dotąd nieuzależniony od narkotyków chłopak Glorii Marcin, zatrudniony przecież w jakiejś redakcji, marzący o domu, żonie, dzieciach. Tak więc chłopak na końcu się wieś, pomyłkowo przez kogoś skopany, pod drzwiami byłej przyjaciółki-prostytutki, która o trzeciej w nocy nie chce mu otworzyć drzwi, pewien, że szlająca się z różnymi typami po Amsterdamie „ta suka” Gloria już nie chce z nim być. To jedna z niewielu scen powieści, która w jakiś sposób porusza.

W sumie jednak książka nie chwyta za gardło, nie otwiera nowych horyzontów, nie prowokuje do odkrywczych interpretacji, po przeczytaniu od razu się rozmywa, na siłę próbując rekonstruować twarze bohaterów. Jest psychologicznie i socjologicznie niewystarczająco pogłębiona, emocjonalnie zimna i artystycznie niedopracowana. Nie mogę się zachwycać, gdy po raz piąty czytam, że ktoś coś „omiata” wzrokiem albo bierze do ręki „odwłok” odkurzacza. Nie mogę się zachwycać, gdy widzę, że pozornie „awangardowa” treść wpleciona jest w tradycyjną, charakterystyczną raczej dla literatury popularnej, niezbyt przemyślaną formę. To nie jest ani proza „psychologiczna”, ani tym bardziej, a też tak pisano, „liryczna”. To książka pełna niepodjętych śmieiej, gubiących gdzieś po drodze swą potencjalną siłę oddziaływania i impet intelektualny wątków i metafor. Wątków jak nadgryzionych plasterów pomidora. Pośpiesznie wdeptywanych w tekst. Mamy więc załączki wątków o jakichś snach, światłach, trumnach, Gułagach, fabrykach proskowania ludzi, sercach, po których brutalnie przechadza się tłum. Tekst to jakby na stojąco pisany. Przypomina scenariusz do filmu o zgniłym Zachodzie, jakich oglądaliśmy już wiele i czujemy pewien przesyt. Jakby ktoś po raz pierwszy pojechał na Zachód i odkrywał Amerykę na nowo.

A może jednak jest w tej książce coś innego, jakaś inspirująca perspektywa, jakiś ciekawy akcent. Książkę napisał przecież ktoś z Polski, więc poszukajmy w niej choćby tego kraju. Polska pojawia się nadzwyczaj mgliście, chciałoby się trochę więcej wiedzieć na ten temat, dlaczego bohaterka nie chce do niej wracać. Dowiadujemy się, że „ojczyzna” kojarzy się jej przede wszystkim z represyjnym wychowaniem, z miejscem, gdzie nieustannie trzeba dopasowywać się do normy, udawać, kłamać, gdzie nie można być sobą,

być inną. Polska jest szara, monolityczna, nie daje szans na autentyczność i uczciwość, barwność i wolność. I to jest bardzo obiecujący, lecz nie rozwinięty trop. W ostatnim czasie w niektórych polskich mediach pojawia się właśnie to pytanie: dlaczego Polska w wydaniu obecnym przestaje być dla wielu młodych osób miejscem, w którym chciałoby się żyć? Słyszycie się niepokojące głosy na temat masowej chęci ucieczki młodego pokolenia z kraju odczuwanego jako coraz mniej tolerancyjny dla myślących „inaczej”. Korespondujące z tym rozpoznanie motywy pojawiają się u Kamienieckiej: „Ja tam umieram, Marcin... Ja nie mogę patrzeć na te bure ulice, na tych ludzi...” (s. 47); „Dużo później nienawidziła tego kraju, gdzie spoglądano na nią podejrzliwie, kiedy mówiła za głośno i kiedy mówiła za cicho. To w Polsce był grzech, a ona nie miała siły udawać, że idzie w tym samym kierunku co ludzie [...] i wiecznie udaje, że coś robi, na lekcjach i poza szkołą, udaje że myśli, kiedy nie myśli, tylko rozgląda się za kimś, kto poda jej rękę” (s. 155). Ten temat można było podjąć odważniej, z większym rozmachem, nie poprzestać na niewiele mówiących aluzjach. Można by mówić pełnym głosem o tej zdradzie w sercu Glorii, o jej problemach z Polską, ale i z matką, która pojawia się tak zdawkowo, że zupełnie nic nie można z tym zrobić, poza dość banalnym przypuszczeniem, że Gloria nie czuła się kochana, sama zaś matkę kocha, tak jak kocha podobno Marcina, też zresztą poszukującego jakiejś matki.

W kontekście „problemów z Polską” czy z tożsamością w ogóle warto zwrócić uwagę także na imiona. Trzydziestodwuletnia Polka, Brenda, nie jest w stanie utożsamić się ani z imieniem „Justyna”, ani z tym przybranym w Holandii, brzmiącym w jej własnych uszach zbyt pretensjonalnie. O głównej zaś bohaterce mówi się Gloria, podczas gdy ta czuje się siódmym nieszczęściem i kupą śmieci, jej imię nie przystaje do rzeczywistości. Sama zresztą nie może rozpoznać swych konturów w lustrze i to właśnie dlatego maluje sobie kreski pod oczami. „W łazience Gloria patrzy na swoje odbicie i ma wrażenie, że bez kresek pod oczami jej nie ma” (s. 77). Czyli rysuje sobie linie na własnym ciele, tym razem przynajmniej sama. Może próbuje wyznaczyć jakieś granice, naszkicować swą twarz?

Wszyscy bohaterowie Kamienieckiej to ludzie pozbawieni miejsca w życiu, rozdarci między kulturami czy może raczej niezakorzenieni (Gloria nie uczy się holenderskiego, mówi po angielsku), pozbawieni poczucia bezpieczeństwa, zaufania do życia, celu, sensu, perspektywy. Za to niosący w sercach nieokreśloną tęsknotę za jakimś innym miejscem, innym życiem, gdzie mogliby się zadomowić – symbolem tej tęsknoty jest właśnie Buenos Aires. Nie skonkretyzowane jest ono jednak zbyt mocno, Glorii kojarzy się przede wszystkim z tańcem, witalnością, ciepłem. Diler Fred, Włoch, marzy o powrocie do Rzymu, Ryszard, o którego poszukiwaniach duchowych świadczy „spadający wrażenie że zaraz się przewróci” posążek Buddy na pudełku po ciastkach (s. 71) chciałby się znaleźć w egzotycznych Indiach. Zaś spotkany przez Marcina Anglik woli od Amsterdamu daleką Australię, gdzie ludzie cieszą się luksusem konkretnych podziałów i jasnego wartościowania. Przy okazji zwróćmy uwagę, że powieść nie jest literaturą typowo emigracyjną: jej bohaterowie to nie przede wszystkim „emigranci”, lecz „ludzie”.

Marzenie Glorii to jednak nie tylko Buenos Aires, to także soczyste, czerwone tulipany, które sama wciąż zabija, to pachnące wanilią dziewczyny na ulicy, którymi chciałaby być, to wreszcie mocno stąpająca „po wykładzinie jak po ubitej ziemi” Brenda (s. 86). Jej erotyczna fascynacja Brendą o grubych zdrowych łydach i dużych zielonych oczach to tęsknota za tym, żeby sama być taką witalną, soczystą, żeby mówić normalnie: „Halo, tu jestem, czuję się tak i srak” (s. 158), być panią domu, przyrządzać tiramisu.

Kiedyś, przedtem, zanim zaczęła się powieść, była w bohaterach Kamienieckiej chyba inna tęsknota, inne marzenie – o tym, kim chcieliby być, co robić w życiu. Gloria na przykład chciała śpiewać, nuci sobie pięknie do dziś. Ktoś jej odradził, bo „się rozpije i zwariuje” (s. 21). Strzępem jakiegoś jej autentycznego marzenia jest także jej pragnienie pracy w schronisku dla zwierząt. Z czasem to marzenie, ta wizja siebie, zniknęła: „Nie rozmawiali nigdy o tym, kim chcieli być naprawdę. [...] *Heroina zajęła miejsce marzenia*”. Podobają mi się te słowa narratorki odnoszące się do Ryszarda. A więc to niezaspokojona tęsknota za spełnieniem, tożsamością, to *pragnienie* przeradza się w *uzależnienie*, dobitniej można to powiedzieć po niemiecku: „Sehnsucht” przemienia się w „Sucht”, „Suche” przemienia się w „Sucht”. Albo inaczej: Każde uzależnienie kryje w sobie niezrealizowaną tęsknotę. I aby się wydostać z uzależnień, trzeba się jej może w sobie dokozać, trzeba coś dla niej zrobić. I to jest właśnie to, o czym chciałabym poczytać więcej i ciekawiej: Jak do tego doszło, jak to się stało, że tęsknota za miłością i spełnieniem przerodziła się w tępotę, a może raczej otępienie, w autodestrukcję, w pęd do niszczenia siebie i relacji międzyludzkich.

Wszystkie postaci nigdy nie są naprawdę tam, gdzie akurat się znajdują, wciąż myślą o tym, jak to byłoby gdzie indziej, jak to by było być kim innym. Są w stanie wiecznego, lecz nietwórczego niepokoju, w nieustającym, bezproduktywnym ruchu. Jak kpina brzmią w uszach Glorii zalecane jej w szpitalu praktyki buddyjskie: „Słowa doktora docierały do niej z opóźnieniem. Filozofia zen, parzenie herbaty. Gdyby widział, jak Gloria je kanapkę na stojąco, zanim zdąży ukroić pomidora” (s. 24). Filozofia zen czy w ogóle duchowość, religia, to tutaj tylko puste rekwiizyty, zapach sandałowego kadzidełka i afrykańska maska z urwanym nosem u Ryszarda, strzępy nic nieznaczących afirmacji, którymi daremnie faszerowano Glorię w holenderskim szpitalu: „Jestem dzieckiem tego świata i mam prawo istnieć” (s. 17). Wiemy, że jest dokładnie na odwrót.

Wart wyraźniejszego zarysowania byłby motyw bezradności psychiatrii klinicznej wobec ludzkiego cierpienia, motyw medykalizacji konfliktów duchowych, społecznych czy kulturowych, zachodnioeuropejski szpital psychiatryczny, który – daj Boże, żebyśmy skłamała – jeszcze nikogo nie uratował od stryczka. Niewidzialna szyba oddziela tutaj lekarzy od pacjentów, ludzi cieszących się prestiżem społecznym i szacunkiem otoczenia od tych „z problemami”, i nawet Glorii nie udaje się jej zbić. (Podobna szyba oddzielała kiedyś Glorię od odwiedzających ją rodziców.) Jest więc i inny, ledwo u Kamienieckiej zaznaczony Amsterdam, Amsterdam prawników i lekarzy, którym właśnie ma urodzić się syn i oni są tym podekscytowani, którzy protekcjonalnie traktują swych pacjentów czy klientów, trochę jak ludzi niższej klasy. Tak naprawdę nie chcą o nich wiedzieć nic

- doktor Andreas o oczach świecących jak „guziki koszuli” nie chce przeczytać listu Glorii, nie chce się dowiedzieć, jak dziewczyna czuje się naprawdę, choć bezustannie o to pyta. Dowiedziałby się na przykład, że Gloria, może trochę naiwnie, nie znosi nakładanych przez ludzi masek. To bardzo interesujący motyw: polska pielęgniarzka brutalnie popycha i nie wpuszcza mamy, zachodnioeuropejski doktor Andreas zawsze pozostaje grzeczny, zawsze będzie nosił maskę profesjonalisty, nic nie zdoła go wyprowadzić z równowagi, nawet wulgaryzmy czy prowokacja seksualna ze strony Glorii. Bo ćpuny Kamienieckiej, nie wiadomo, czy w imię autentyczności, buntu czy lenistwa, odmawiają takiej czysto konwencjonalnej, poprawnej komunikacji: „Pan się pyta, jak się czuję, i powinnam powiedzieć, że dobrze, bo wychodzę, i pan mi powinien powiedzieć: »Życzę szczęścia!« A ja mam ochotę powiedzieć – niech pan spierdala!” Mówi Gloria i ja ją tu rozumiem. Także młody Holender Paul krzywi się na słowo „zabijać” w jej ustach, bo to be (s. 166). Gabinet doktora Andreego przypomina Glorii lodówkę, nienawidzi jego uśmiechu „zapewniającego że widzi w niej człowieka” (s. 22). „Fuck me, doktor”, tak, to mi się podoba, tą drogą można było pójść dalej, lecz ona już się więcej nie pojawia. Gdzie więc szukać swego miejsca, jeśli w Polsce *brutalne zacierzowanie*, a na Zachodzie *zimne i poprawne zubożenie*? Cóż pozostaje, jak nie Buenos Aires „pachnące zabawą i morzem”, marzenie o ekstazie, o kolejnym orgazmie, o śmierci. „Zabij mnie, myśli Gloria, słysząc kroki w przedpokoju. Weź nóż i zabij. [...] Pomyśl, że jestem kawałkiem sera. Wbij, gdzie chcesz, mnie boli od samego początku, i cuchnę ze strachu. Jestem twoja, cała twoja” (s. 199).

Następny obiecujący motyw: unifikacja świata zachodniego. Wszyscy opychają się tureckimi bułkami z mięsem, wszędzie pachnie kuchnią tajska, wszystko jest jakieś sztuczne, plastikowe, tymczasowe, do wyrzucenia, albo z kolei „cool”, jak bezradnie interpretuje świat Steven – angielski turysta. Nawet przedstawicielka starszego pokolenia, matka Ryszarda, już dawno nie umie gotować bigosu, jest jakaś zdzieciniała, „ach ta wasza marihuana”, nie wie, co się tak naprawdę z synem dzieje, natomiast chętnie jeździ do Ikei, gotuje makaron po tajsku, ogląda telewizor i opowiada o woreczku żółciowym (s. 94). Oraz przynosi synowi tłustego pieczonego kurczaka, który, podobnie jak zapach mięsa w ogóle, w powieści odgrywa dość znaczącą, lecz nie do końca jasną rolę.

Za co jeszcze mogłabym lubić *Dziewczynę*...? Może za to, że oto młoda kobieta napisała książkę, jak pisze Kazia Szczuka, „kontrowersyjną” (czyli hit)? A to z kolei podobno w Polsce znaczy, że jest w niej dużo seksu. Należy więc się cieszyć, że kobietom wolno dzisiaj pisać „takie rzeczy”. Czy sam fakt, że kobieta może dziś napisać, że postać „rzygała jakby ktoś ją posuwał pogrzebaczem” powinien mnie cieszyć? Może i tak. No dobrze, cieszę się ze względów ideologicznych. Cieszę się też ze względów językoznawczych: Poznaję język, przyswajam sobie rozliczne wulgaryzmy. Pozostając przy kwestii seksu: Nie zgadzam się z rozpoznaniem niektórych krytyków, iż to, że bohaterowie wciąż obsmarowują się „wydzielinami swoich i nie swoich organizmów” czyni z tej prozy literaturę „gęstą i zmysłową” czy wręcz „gorącą”. Tu chyba nie o to chodzi, żeby było zmysłowo, tylko żeby było strasznie, czysto fizjologicznie, obleśnie, odpychająco, tutaj

nawet kochający Glorię chłopak „pieprzy ją palcami” jak automat, chce, żeby ją zabolalo. Ten seks jest taki, i chyba ma taki być, jakby Gloria wciąż na nowo dawała się gwałcić, jeść, żreć, nadgryzać, zresztą dosłownie jest o tym mowa, że się taka zjadana czuje, sama rzuca się każdemu pierwszemu na pożarcie, choćby Andreasowi: „Kocham pana. Niech mnie pan rozbierze, zje, rzuci mną o ścianę” (s. 24). „Pocałuj mnie, tak patrzyła na mężczyzn. [...] Gloria [...] zniknęła już tyle razy splukana i wypalona jak niczyje ciało wstrząsane orgazmami i płaczem; ciało nadgryzione przez innych, choć czyste i wyperfumowane na każdą okazję, żeby je nadgryźć na nowo” (s. 198.) To seks oddzielony od miłości, od emocji, duchowości, orgiastyczny, ale i czysto organiczny, chociaż, przynajmniej w przypadku Glorii i Marcina, przynosi zapomnienie, ulgę, słabość, jak narkotyk. Tak, seksu na pewno jest dużo. Ale nie jest ani gorący, ani fajny, tylko przeważnie budzący, także w samych bohaterach, obrzydzenie. Mamy fontanny spermy tryskające czy to na chodnik (onanizujący się kłoszard), czy to na czubek trampka (onanizujący się Ryszard). Metafora straconej, niezainwestowanej w nic, niezapłodniającej już niczego energii? A im bardziej mężczyźni tryskają spermą (choć Ryszard nie dorównuje zasięgiem Arabowi), tym bardziej Gloria rzygowinami. Wielokrotne, kilkugodzinne ekscesy, orgie wymiotów Glorii to centralny motyw książki, jej odpowiedź na „wyzwania” dzisiejszego świata, na doznane, m.in. ze względu na społeczne pochodzenie i pleć, poniżenia, upokorzenia i ból. U Ryszarda, na końcu powieści, Gloria wymiotuje cztery godziny i tam, zdaje się, następuje oczyszczenie. Po raz pierwszy wymiotowała jako czterolatka po wizycie sąsiada całe dwa tygodnie.

Dziewczyna... to historia dziewczyny niekochanej, nierozumianej, dziewczyny z nizin społecznych pozbawionej szans awansu, ofiary gwałtu, której nie dane było spełnić swoich marzeń, która uważa się za gnojówkę, szmatę, chociaż mogłaby być księżniczką. Jej serce mogłoby być wachlarzem, a zacina się jak zepsuty parasol. Nie jest więc w stanie przyjąć ani oferowanej jej przez Marcina miłości, ani podzielać jego tęsknoty za domem i rodziną. Bo co w tym domu będzie robić? Ona chciałaby wiele domów... Z jednej strony nie może się znaleźć w roli potencjalnej żony i matki, z drugiej broni się dość nieskutecznie przed zepchnięciem do roli dziwki. Nie widzi alternatyw. Najważniejsze jednak jest to, że – jak rozumiemy – na skutek wczesnej traumy Gloria nie kocha i nie szanuje samej siebie, uważa samą siebie za osobę skażoną, skalaną, strasznie brudną (stąd te ciągłe plamy na ubraniach) i wciąż wpada w ręce mężczyzn, którzy seksualnie ją wykorzystują. To na przykład Arab Toni, którego chuć przenosi się na ściany ociekające śliną, albo Paul, strasznie przeciętny, poprawny Holender, wpychający jej sinego „kutasa” do „buzi”, którą potem musi myć i myć. Wciąż ma poczucie winy, wciąż myśli, że Marcin zasługuje na kogoś lepszego: „On ma bardzo piękną duszę i myśli, że ja mam taką samą, ale chyba mnie nie rozumie” (s. 162). Tak à propos – pisała już o podobnych sprawach Komornicka...

Do skutków traumy albo do syndromów ogólniejszego „rozpadu świata” należą Glorii i nie tylko Glorii problemy z komunikacją. Kiedy Marcin chce z nią rozmawiać na poważne tematy, Gloria bierze się za smarkanie. Gdy z kolei ona pyta Marcina, czy chciał-

by kontynuować miłość na tamtym świecie, on śpieszy z odpowiedzią: „Na chuj myśleć o tym co po śmierci” (s. 57). To może najlepsze miejsca tekstu, te próby porozumienia się między Marcinem a Glorią, w których wzajemnie doprowadzają się do szału: – „Po co chcesz tam iść? – Nie wiem, a po co mam żyć? – Kurwa... Nie mów już nic lepiej” (s. 109). O najważniejszych sprawach, celu, sensu życia, o śmierci, Marcin i Gloria nie są w stanie rozmawiać. Komórka Glorii najczęściej jest wyłączona. Odmowa komunikacji wyraża się także w tym, że Gloria – zapytana przez matkę Ryszarda o to, czy źle się czuje, obrzyguje jej twarz kurczakiem, uprzednio łąpczywie i bez umiaru, bo nie ma żadnych miar, upchany do ust. Bo ma wrażenie, że jest dla tej matki nie tylko brzydkim kaczątkiem, ale i po prostu bydlęciem pieczętowanym i wpychanym do wagonu. Bo ta matka odmawia jej strzępu domu, odmawia jej pomocy. „Obrzygała człowieka i co teraz?” Tu mamy trochę humoru, jego załączek, obietnicę.

Na zakończenie jeszcze jeden dość ciekawy aspekt problemów Glorii, jeszcze jedna próba pokuszenia się o życzliwą interpretację. Dziewczyna nie potrafi wybierać, nie potrafi podejmować decyzji. Mając do wyboru różne herbatki (czarną, zieloną czy czerwoną), czuje się jakby ktoś ją „obrzucił różnokolorowym gównem”, nie rozumie, czemu Paul pyta ją, czy chce pizzę „z czosnkiem czy z cebulą”. To chyba taki postmodernistyczny śmietnik kultury, w którym trudno się rozeznać, w którym jednako ważą osły i pomarańcze. W ostatnim rozdziale książki Gloria nie wie, jakie wybrać pocztówki z Amsterdamu: „skinęła głową i poczuła, że robi jej się gorąco, jak zwykle kiedy musiała coś wybrać. [...] Musiała wybrać jedną z wielu pocztówek, które mrugały do niej świetlistymi oczami. Anioły, osły czy pomarańcze? – Wezmę tę z gwiazdami, odparła ucieszona, że tak szybko się zdecydowała. [...] – Wyślę ją do Polski” (s. 217). A więc jednak jest jakiś rozwój, choć dość niewyraźnie w książce zaznaczony, wbrew opinii Przemysław Guldy, że narratorka w dowolnym miejscu pozostawia bohaterów samym sobie, „zamyka grubą pokrywą tę gotującą się coraz intensywniej potrawę, a na wierzch kładzie ciężki kamień” i nic jej już nie obchodzi. Oto Gloria uczy się podejmować samodzielne, niezależne decyzje, także dotyczące mężczyzn! Nieżywy Marcin o tym nie wie, a ona już postanowiła przystać na jego prośby, wrócić z nim do Polski, „jest bowiem Glorią, która kocha Marcina” (s. 216). Przewyciężyła borderline!? Jeszcze przed wyjazdem wysłała do Polski kartę z gwiazdami, może to symbol nadziei, symbol jakiejś wizji, czegoś, co będzie ją prowadzić. Narratorka sugeruje, że Gloria i Ryszard mają szansę zostać parą w przyszłości, w końcu to on wyciągnął do niej pomocną rękę, to ona poprosiła go o pomoc zamiast wyskoczyć z okna pełnego świeżych warzyw mieszkania Paula. Poza tym Gloria pachnie tak, „jak mogłaby pachnieć jego [Ryszarda] kobieta, gdyby nie potrzebowała perfum.” Gloria jeszcze ich trochę potrzebuje, wybiera więc dodatkowo kartę z flakonikiem. To perfumami zawsze próbowała pozbyć się zapachu samej siebie. Ale teraz to już tylko karta. A więc jednak Gloria. Hura!

A mnie to ni ziębi, ni grzeje. Mnie się najbardziej podobały osły i pomarańcze.